



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## NIC DARMO.

Nic darmo nam nie przychodzi i człowiek nietylko na wszystko, co posiadać pragnie, zapracować sobie musi, ale trzeba mu nauczyć się jak pracować należy, urabiając się do tego od lat najmłodszych. Każdy kto zaślepionym samolubem nie jest, braki pewne w sobie dostrzegać musi i jeżeli pragnie stać się lepszym i mądrzejszym, jeżeli pożąda trochę choć prawdziwego szczęścia sobie zdobyć, powinien wiedzieć, że najczęściej jest to winą jego własną, jeżeli go nie osiągnął. Może nie umiał być rozumny, może nie umiał być tak dobrym, aby na szczęście zasłużył, jeżeli przecież serce jego bije jeszcze tętnem żywym, a nadzieja i tęsknota jeszcze mu pierś podnoszą — jeżeli jeszcze wierzy w to, co było dlań ideałem dobra, ideałem piękna czystego i ma w sobie dość siły, aby ręce ku temu wyciągnął, jeszcze może to wszystko sobie zdobyć i tylko trzeba mu nauczyć się tego, czego nie umiał, wyrobić w sobie moc, której nie posiadał.

Czy przecież każdy człowiek może się na to wszystko zdobyć?... Tak! odpowiedzieć śmiało można, trzeba tylko, aby poznał, co jest w nim brakiem i nauczył się tego czego nie umie, czyniąc to przecież rozumnie według sił i zdolności swoich, na co już w wychowaniu dziecka rodzicom baczycy trzeba. Często rodzice ci przez miłość, przez pragnienie gorące wytworzenia dziecku swemu wyższego między ludźmi stanowiska, popychają je w stronę, gdzie mogło by to osiągnąć, co jest dla nich celem pragnień dumy, pragnień pychy jedynie. Obdarowania dane człowiekowi są rozmaite

w stopniach i rodzajach swoich, lecz każda istota ludzka jest stworzoną przez Boga do celów dobra, piękna duchowego, każda ma w sobie zarody pewnych przymiotów, cnót pewnych, trzeba przecież, aby wychowanie rozwinęło te siły szacowne, które nie pozwoliły by wzrosnąć złym, moralnie zgubnym wadom. Spełnia się też na każdej młodej istocie ludzkiej to, co nam parabola ewangeliczna przedstawia pod postacią dwóch siewców: jednego, który przy złotych blaskach jasnego słońca rzucał w grunt, pod zasiew urobiony, ziarna roślin dobrych i drugiego, zakradającego się tu nocą, aby zagłuszył te zasiewy przez kłakol.

Człowiek został przez Boga stworzonym do dobra, należy przecież, aby zarody dobra tego mogły się szczęśliwie rozwijać i każda cnota potrzebuje też gruntu takiego, takiej atmosfery, aby stać to się mogło. Postęp ludzkości tą tylko drogą spełniać się może, wychowania jest też do celem doprowadzać istotę młodą do najdoskonalszej jaką pojmujemy normy uczciwego człowieka, a rozbudzać szlachetnych uczuć, szlachetnych porywów siły, to znaczy zatłumić niskie poziomych pragnień żądze. Kto wierzy w dobro, kto dobra pragnie, powinien odważnie przeciwstawiać się złemu i siły swe na to wyteżać, aby wyższe, szlachetniejsze instynkta rozwijały mu się w piersi, — aby serce uderzało jedynie szlachetnych uczuć mocą.

Wyszkolenie umysłu jest tu wielką człowiekowi pomocą, należy też od lat już młodych na dziecko tak działać, aby rozbudzało się już w niem pragnienie wiedzy tego, co je otacza, a wtedy to wystąpią przed oczy wychowawców skłonności dziecka intelektualne, to, co myśl jego najsilniej uderza i najsilniej zajmuje, a rozumnego wychowawcy, rozumnego pedagoga jest obowiązkiem, aby to śledził. Człowiek jest istotą samodzielną, jak skłonności jego tak i chęci z trudnością tylko złamać się w nim dadzą, a nigdy bez szkody, jeżeli to dziać się bę-

dzie siłą przymusu. Są różne obdarowania ducha, są też i różne siły umysłu, dla tego więc rozumni rodzice, rozumni pedagogowie nigdy gwałtem na umysł dziecka działać nie będą, bo to, co siłą na nim wymusza, stanie się wiedzą martwą, która pomocą żadną dla życia mu nie będzie.

Ludzie niezamożni muszą przecież pod przymusem konieczności obierać sobie taką pracę życia, aby dawała im możliwość utrzymania się o sile własnej, jest to rzecz niewątpliwie smutna ale nie bez pewnych korzyści moralnych, bo poczucie obowiązku wyrabia się wtedy mocniej i nakazuje posłuszeństwo chęciom, pragnieniom naszym, więc kształci nas moralnie. Człowiek, który jest zdolnym stanąć w życiu o sile własnej, czuje się mimowoli dumnym z tego, poczucie godności osobistej podnosi go i wynagradza mu ten smutny przymus nad duchem jego wymożony. Nie zawsze przecież moc panowania nad sobą wydaje taki szczęśliwy rezultat, pesymizm ogarnia często ludzi w położeniu takim będących i trzeba też pilnować im się mocno, aby zdołali obronić się od zniechęcenia do świata i ludzi, do tej pracy która przecież stała się już ich powinnością. Wyszukując wszystkich ciemnych jej stron, cóż przecież zyskać mogą przez taką smutną walkę z losem?

Zabija to w nich energią, odbiera im te wszystkie nagrody pracy, która przecież podjęta jako konieczność, więc obowiązek, inaczej by oddziaływała na myśl ich i uczucie, bo wyrabiała by energią, a nawet i dumę pewną, przez którą nie dali by duchowi swemu wyczerpać tego zapasu sił, broniących go przed bolesnym uczuciem poniżenia i n tego potem zawsze upadku sił i woli mocn



## Z teki piosnek.

Nad kołyską moją  
Srebrny Anioł Stróż  
Smutne nucił piosnki  
I lzy ronił już,  
Na me czoło lezka  
Spadła, niby kwiat,  
Wieczystego bólu  
Wyciskając ślad...

Jam wyrastał zwolna,  
Smutek ze mną rósł,  
Mroząc radość wszelką,  
Jak pierwiosnki mróz.  
Nie zaznałem, czem są  
W życiu jasne dni,  
Wiecznie tęskno, gorzko,  
Wiecznie smutno mi.

Kędy zwrócić zdołam  
Zalawiony wzrok,  
Wnet za sobą wiodę  
Smutku, bólu mrok,—  
Szczęście w jednej chwili  
Niknie z przed mych stóp,  
Zostawiając rozpacz  
Lub zwątpienia grób.

Nad kołyską moją  
Srebrny Anioł Stróż  
Smutne nucił piosnki  
I lzy ronił już.  
Na me czoło lezka  
Spadła, niby kwiat,  
Wieczystego bólu  
Wyciskając ślad..

Selim

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

## KLESKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem stan zdrowia Andrzeja wahał się, lekarz z pobliskiego miasteczka nie stanowczego powiedzieć jeszcze nie umiał. Bóle głowy były nieraz bardzo silne, czoło miewał tak rozpalone, że na poważnej twarzy doktora widoczny zarysowywał się niepokój. Najniebezpieczniejszem było—to gorączka, która z nadejściem nocy każdej nawiedzała chorego. Bredził wtedy—czasami jęczał, albo słowami miłości pełnymi przemawiał do niewidzialnej postaci. Pan Krzysztof i Chostyniecki poznawali po wyrazach jaka mara stawała przed oczyma Andrzeja. Wtedy czoło starego rysowało się bruzdą niemej rozpacz, a Chostyna za rękę go brał i szeptał:

— Ostaw, ostaw—przeciwko Panu Bogu nie nie poradzisz. Znaj to!

Tego samego i ksiądz Ambroży był zdania, wywnioskował nawet z poplątanych słów Andrzeja, że

gdyby chory Malwinę przy łożu swoim zobaczył, nie małej ulgi by doznał, jeżeliby zupełnego nieodzyskał zdrowia.

I rzeczywiście, choroba Andrzeja więcej może była duchowej natury. Słowa, które Malwina rzuciła panu Krzysztofowi do ucha, niewahając się ich powtórzyć i przed Chostynieckim—napelniały go ogromem szczęścia; widział ją wciąż przed sobą, widział jej oczy czarne, które tonęły w jego źrenicach i ogarniał go szal miłości, o jakiej tylko we snach młode serce marzyć może. Ale wnet rzeczywistość przedstawiała mu obraz inny. Dostrzegł wtedy przepaść pomiędzy nią a sobą; stali na dwóch przeciwnych brzegach i oto brzegi te zaczynały odsuwać się, oddalać od siebie, coraz szybciej i szybciej, ze wzmagającym się, potężniejszym wciąż szmerem. Zrywał się wtedy z pościeli, rozszerzał oczy przerażone i wołał: „Stój! stój!“ i opadał bezsilny z jękiem głuchym, z utratą zupełnie przytomności.

Dzień ulgę przynosił. Gorączka zmniejszała się. Wówczas rozglądał się nieprzytomnie i gdy nie było Chostyny, kazał go wołać do siebie.

— Czy był posłaniec od niej?—pytał.

— Był—odpowiadał Aleksy.

I pokazywał listy Malwiny, w których zapytywała o zdrowie, a słowa pytania gorące były, biegł z nich szept błagalny, by nie a nie nie ukrywano przed nią. Każdy list taki, a kozak z pałacu codziennie z nim przybywał, potęgował tylko miłość Andrzeja, zdawał niepokój ale i balsam lał w serce zbolale.

Miss Mary i Baczyńscy nie małą też zmianę i w panie Malwinie dostrzegli. Na ślicznej jej twarzy niebywałe przedtem pojawiały się rumieńce a były, jakby przez gorączkę wypalone; oczy często zachodziły łzami, sine prążki pojawiały się pod niemi—i wydawały się te oczy stokroć większe, patrzące jakąś głębią niezmierną. Usta nie miały już uśmiechu; robiły wrażenie różowego koralu, którego dotknięcie miało moc ognia. Najobojętniejsze dostrzegłoby oko, że duszę jej łamał ból jakiś wewnętrzny. Baczyński to spostrzegł i przeraził się.

— Czy uważasz, Olimpiu?—zapytał żonę.

— Tak—Lubomirze— Zrazu myślałam, że to zwykłe niezdrowie, ale Malwinka nie skarży się, nie stęka, tylko—taka jakaś dziwna!... Na zapytanie nie odpowiedziała nic—długo na mnie patrzyła, a później szeptała: „Czy wy mię bardzo kochacie?“ Gdy oczywiście odpowiedziałam twierdząco—rzekła: „Przyjść może chwila, mam, że od was nie słów, lecz czynu zażądam!“ Co to znaczy, czy rozumiesz Lubomirze?

Baczyński czoło zasępił i udał się do miss Mary.

— Czy oddałaś pani list hrabiego?

— Nie jeszcze—odpowiedziała.

— Jakiś niepokój dręczy to dziecko—może on ma związek z odjazdem hrabiego. Oddaj, pani, ten list na koniec.

Miss Mary przyrzekła uczynić zadość żądaniu Baczyńskiego.

Malwina nie wspominała przyjaciółce o swoim spotkaniu się z panem Krzysztofem, o tem wszystkim, co zaszło. Dobra miss Mary nie była natrętną, nie pytała też o nic, choć ją niepokoił stan Malwiny. A ten z dniem każdym pogarszał się...

Krótkie odpowiedzi Chostynieckiego nie brzmiały wcale pociechą, choć o niczem groźnem nie donosiły. „Andrzej ma się trochę lepiej, Andrzejowi trochę gorzej,“ oto była treść tych listów pana Aleksiego. A jej myśl wybiegała wciąż naprzód i zatrzymywała się w proggu domu pana Krzysztofa. Piękna postać młodzieńca zarysowywała się w zwierciadle jej oczu, brzmiały w jej uszach podniosłe słowa Andrzeja, któmi przemawiał do Chostyny podczas wiadomej wycieczki nocnej, później ta burza, te wydawane przez niego rozkazy głosem stanowczym, których nie mogła nie słuchać, potem pierwsze spojrzenie na siebie, gdy w ramiona ją wziął i rzucił się na skałę, korzystając z blasku piorunowego, oświetlającego im drogę—następnie drugie widzenie się przez okno, w którym stanął w całej swej męskiej piękności—wreszcie ostatnie, gdy wzrok ich się stopił i serce w serce, duszę w duszę przelał. Zuciażyło nad nią przeznaczenie jakieś, fatum, któremu uleż musi, któremu obronić się ani chce, ani może— Dzień każdy tak, jak dotąd, przeżyty—gniótł ją olbrzymim jakimś ciężarem;

trwoga o życie tego, któremu może swoje życie zawdzięcza—niepewność, niemożność widzenia, stawały się okrutną katuszą. Kilka razy chciała biedz—tam... i powracała, powstrzymana uczuciem wstydu, wtedy lzy napelniały jej oczy—lzy, które tłumila ostatnim wysiłkiem woli. Lecz po upływie tygodni paru—zmęczyło ją to nieustanne „lepiej“—„gorzej“ przez Chostynę przesyłane. Wzięła to za taktkę, mającą na celu nie trwożenia jej serca biednego złą wiadomością, a tam musi być gorzej wciąż gorzej, a oni ukrywają rzeczywisty stan rzeczy...

Dnia pewnego z okrutnym niepokojem oczekiwała odpowiedzi Chostyny. Posłaniec nie wracał długo, może się zdawało jej tak tylko, lecz krokiem złotym wlokły się te chwile czekania. W pracowni swojej siedziała przy otwartym oknie o brzeg jego wsparta, ciężko dyszała jej pierś, usta krzywił czasami jakiś uśmiech bolesny. Zrywała się co chwila i przykladała dłoń do czoła, albo podbiegając do wpatrzonyj w nią z trwogą angielfki, chwytając jej rękę i jakimś dziwnym, bezdźwięcznym głosem wołała:

— O Mary!...

— Co tobie jest? powiedz!...—odezwała się przyjaciółka.

— Co mi jest? czy ty o niczem nie wiesz, niczego się nie domyślasz?...

Miss Mary przygarnęła ją do siebie.

— Czy ty naprawdę kochasz tego Andrzeja—

— Tak—tak—bez pamięci!... I potrzeba ci słów tych było?

Bywają czasem tak gwałtowne uczucia,—nie skłamał Will stary, gdy niemi wypełnił serca Romea i Julji. Wiedziała o tem miss Mary, lecz nie wierzyła zbyt książkom,—a przerażała ją miłość Malwiny. Strach ogarniał na myśl, gdy świadom wszystkiego Baczyński już będzie—i pod wpływem tego strachu zaczęła tłumaczyć Malwinie, że ta gorączka krwi przejdzie, przejść musi i przejść—powinna. Trudno sprzeciwić się porządkowi świata, który zakreślił pewne granice i oddzielił od siebie takich Malekich i Baczyńskich. Nie można obrażać przekonań sfer pewnych, do których się należy, zapierać się krwi szlachetnej, sprzeniewierzać się rodowym tradycjom.—W pomoc przyjsć musi rozsądek zimny i rzeczywistość, druzgocząca sny fantastyczne. Szły wielkie, na razie nieuleczalne by się zdają, lecz się uleczą i znikną bez śladu. Obco będzie bogatej dziedziczce rodu w otoczeniu w jakim żyje taki syn pana Krzysztofa—i pan Andrzeju obcem się poczuje w tym świecie, choćby ten świat go przyjął.

Ale czy przyjmie?

Któż nie zna Baczyńskiego dumy?

Nie wolno łamać form pewnych, z zakreślonego wybiegać koła, zniżać się, gdy kogo los na wyżynie postawił...

Tak mówiła miss Mary...

Malwina, stojąc przed nią, wpatrywała się w twarz swej przyjaciółki ze zdumieniem pewnem. W miarę słów wyrzucanych przez usta angielfki, które, jakby z piersi ręką czyjąś dławionej, wybiegały nierówne, rwące się—mieniła się twarz panny Baczyńskiej, ścigały się łuki brwi czarnych, a na ustach, jakby wyraz pogardy zawisł.—Miss skończyła.—Wzrok Malwiny przeszywał ją na wskroś...

— I to tak mówi córka węglarza?—spytała po chwili.—I to ty tak mówisz... Mary?... Szalbierko! zawołała—nie godną jesteś przyjaźni mojej!... I odwróciła się z pogardą...

Miss Mary zerwała się i runęła do kolan Malwiny...

— O nie—nie! jęknęła, a lzy, jak deszcz, lunęły z jej oczu.—Nie, nie—to nie są słowa ani rozumu ani serca mojego! Malwino, przebac!... Malwino, nie odbieraj mi skarbów twojego przywiązania!... Kłamałam przed tobą, ale kłamałam dla ciebie!... Smutnej lekarki rolę na siebie wzięłam, bo w myśli mi się zarysował dramat twej rodziny, pod której dachem, jakby pod swoim własnym tak dojrzała mi był!... Widziałam błądą twarz twojego ojca, jego nieubłagany gniew—ja nie wiem już co... i stach mną ogarnął.—Zresztą ta miłość twoją wydała mi się kaprysem serca, gorączką głowy... Przebac! przebac!... jęczała...

I tarzała się u stóp jej—wyciągając ramiona...



Malwina rzuciła się do klęczącej i uścisk szalony splótł te dwie istoty. — Wśród ciszy zapadającego wieczoru słyhać było łkanie i płacz—później szepty, później słowa przebaczącej...

— Al... wracasz mi życie... Byłabym nadto samotna,—mówiła Malwina!—Ja wiem, co mię czeka tu—ale pójdę tam, gdzie jakaś fatalna gna mię siła, gdzie serce woła, miłość isć każe!—A o szczęściu ty mi nie mów!—Czy marmury pałaców, uśmiechy salonowych kłownów, życie bez celu, wypełnione bezmyślnymi grzecznościami wielkiego świata,—wypełnią dni moje?... O, nie jedna wyciągnęłaby dłoń do życia takiego, — ale nie ja, która zrozumiałam wartość tego życia i pokochałam, coś więcej—niż człowieka. Ty wiesz, ty rozumiesz mnie—i teraz niepokój mój pojdziesz — rwanie się serca mojego — ból cały, i trwogę całą i s'raszną niepewność, jaka z tych białych kartek wieje...

Dostała listy Chostyny i pokazała przyjaciółce. — „Gorzej—lepiej,” dwa słowa tylko — a ja nie wiem!...

Miss Mary przezierała kartki pisane ręką Aleksego, a Malwina wpatrzyła się w portret Andrzeja, całą duszą w nim tonąc — Łza po łzie spływała jej z oczu, łzy padały na karton i zostawiały ślady na rysunku. Malwina bezwiednie wzięła pastyl i trzykrotnie: Kocham! napisała na tym portrecie Andrzeja.

Miss Mary zbliżyła się do niej:

— Malwino! mam ci coś powiedzieć —

Malwina podniosła głowę.

— Mam list do ciebie —

— Od kogo?—spytała szybko panna Baczyńska.

— Od pana Izydora.. W dzień wyjazdu hrabiego wręczył mi to pismo twój ojciec i—czeka odpowiedzi.

— Czy jeszcze mu jej nie dałam? Al... będzie ją miał—zawołała, wstając, po odczytaniu oświadczenia pana na Zaczyńniu —

Miss Mary schwytała ją za rękę.

— Tylko spokojnie—rzekła.

— Czy sądzisz, że jestem gwałtowną?... Przecie ojca mojego Kocham i szanuję lecz mam prawo wymagać, by uszanowano i moje uczucie.

— Wstrzymaj się—może później...—prosiła miss Mary.

— A nie—niechęć już dłużej siebie męczyć i ich męczyć. Niech wiedzą, że ten list... (zmieła go) na taką tylko zasługuje odpowiedź...

Wyszła z pokoju a za nią drżąca i pobladła, niby cień, sunęła się miss Mary.

Panna Malwina weszła do pokoju matki—i drzwi przymknęła. Miss Mary zatrzymała się w progu i przyłożyła ucho do klamki. Widać, że zmieniona twarz i ślaniający się może krok wchodzącej, przestraszył panią Olimpię, bo szmer dał się słyhać, jakby szybkiego powstania i okrzyk:

— Co tobie, Malwino?

— Oto, mam, list hrabiego zmięty i podarty przeze mnie...

Chwila milczenia.

— Więc ty go nie Kochasz? — zabrzmiało pytanie.

— Nie—nie — nie — powtórz mam te słowa ojcu —

— Ja—powtórzycie ojcu?...

— Boisz się, mam?...

— Związek twój z panem Izydorem, był tak upragniony przez niego.

— Przecież to mam o mnie chodzi?

— Tak—to prawda! —

I znów milczenie.

— Ale, Malwino—ty mi wyglądasz tak... jakby... jakby... Ja z trwogą patrzyłam na ciebie i pytać się bałam. Co tobie jest, dziecino moja?...

— Och, mam!...—dał się słyhać jęk Malwiny.

Widocznie, że się usunęła na klęczki.

— Na Boga!—zawołała pani Olimpia. — Czy ty czasem—nie... nie...

— Tak, mam?...

— W kim?

— Dziś tobie nie powiem... Ach nie, ja wszystko tobie powiem —

I miss Mary słyzała urywane wyrazy spowiedzi cichej—i szybki oddech piersi panny Malwiny i tłumiony płacz pani Olimpi. A potem ogromna zaległa cisza. Miss Mary nie mogła dłużej stać na czatach, serce jej biło tak gwałtownie, jakby to

o nią właśnie chodziło. Wróciła do pokoju swej przyjaciółki, w którym pod oknem cień się jakiś przesunął.

Był to wracający posłaniec z listem od Chostynieckiego.

— Panna je?—spytał.

— Czy masz list—daj? — zawołała szybko angiela.

Kozak zaklejoną wręczył kartkę papieru i odszedł.

Miss Mary czekała na Malwinę—po chwili weszła, blada bardzo, lecz spokojniejsza znacznie.

— I co? i co?—spytała miss Mary.

— Powiedziałam mamie wszystko — Słuchając mnie, była bleśsza ode mnie... O Izydora ona powie ojcu, o mojej miłości powiedzieć nie śmie... Powiem więc mu — ja... w chwili stosownej.

— Jest list—szepnęła miss Mary.

Malwina skoczyła, wyrwała prawie z rąk kartkę — przebiegła ją oczyma i straszny krzyk z piersi wypadł —

Aleksy pisał:

„Z Andrzejem źle—stary księdz prosil.“

Dość było tych wyrazów, by przed oczyma panny Malwiny przedstawił się obraz następny: Mrok, zasunięty w drzew cienie bieleje dworek pana Krzysztofa, gromadka sąsiadów stoi przed domem smutna a w dziwnym skupieniu ducha, Janek oparty o płot łka cicho. Na twarzach wszystkich boleść niezmierna, bo tam, w pełnym rozkwicie młodości, powalony fatalną siłą, na łożu cierpienia spoczywa brat ich a nauczyciel dobry. We wnętrzu domu uroczyste milczenie, księdz Ambroży pochylony nad chorym słyha spowiedzi. Blask świec pada na złote Andrzeja kędziory i srebrne włosy kapłana. W przyległym pokoju, niemal u drzwi samych siedzi pan Krzysztof. Czoło ma wielką boleścią zorane, lecz stokroć większa wiara w Boga nie pozwala rozpaczyć czarnych piętn nań rzucić. Oparty o piec stoi bezradny Chostyna, raz wraz powiekami mruga, bo raz wraz napływa łyzy do oczu. Cisza—ogromna cisza... Słyhać szmer, jakby ktoś kosą suche trawy podcinał...

To śmierć!...

— Mary!—krzyknęła Malwina—chodź ze mną... chodź—chodź—chodź!...

I drżąca, jak liść, i blada jak mgła—skoczyła do ogrodowej furty i biedza zaczęła. Miss ledwie podążać za nią mogła—i nią dreszcz jakiś potrząsał a strach w ramiona brał. Był już mrok szary, słońce zaszło od dawna, zostawiając na zachodzie czerwony pas, jako, ognisty ślad swej drogi. W powietrzu cisza, na trawach perliły się rosy obfite. Chłodne krople rozbryzgiwały się pod stopami idących szybko, słyhać było oddechy zmęczonych piersi, szczególnie pierś jedna drgała śmiertelną trwogą...

Szybko przebyli przestrzeń dzielącą park od zaścianka, na ulicy było pusto, psy leżały nieruchomie i drzemały w kłębki skulone. Zmierzch opadał coraz gęstszy, tak, że drzewa dalsze topiły się zupełnie w cieniach, a wśród drzew tych tylko białeł dworek pana Krzysztofa, smugi krwawego światła biegły z okien, przed domem stała sąsiadów gromadka w religijnem skupieniu ducha, Janek oparty o płot łkał cicho. Na twarzach wszystkich boleść i smutek niezmierny...

Malwina podbiegła do wrót i weszła w dziedzińiec. Zaściankowiec poznał pannę Baczyńską, a choć zdziwienie odmalowało się na ich twarzach, widząc ją tak bardzo bladą i bardzo drżąca—rozstąpili się w milczeniu i zrobili wolne przejście jej i dążącej za nią miss Mary.

Panie weszły do środka pogrążonego w ogromnej ciszy domu.

Ten sam obraz, który Malwinie w widzeniu się przedstawił, ujrzała i tutaj. U drzwi przyległych do pokoju Andrzeja siedział pan Krzysztof; pochylone czoło stareca rysowały bruzdy boleści wielkiej, ale rozpaczyć nie było. Usta szeptały modlitwę, na siwych, długich rzęsach zatrzymały się łzy, duże jak grad i, jakby lodem ścięte, nie mogły upaść na ziemię. Oparty o piec stał bezradny Chostyniecki i mrugał raz wraz powiekami.

Pogrążonych w modlitwie i zadumie zbudził szelest u drzwi: to weszła Malwina z towarzyszącą jej miss Mary... Na widok panny Baczyńskiej stary podniósł się. Przeraziła go bledność jej twarzy, jej

pierś nie mogąca powietrza schwytać i te oczy piękne, duże, z których patrzył przestraszony nieopisany.

Malwina podbiegła do pana Krzysztofa, ujęła szybko dłoń jego i przyciskając do piersi, w której czuć serca nie było—spytała urywanym szepem.

— Panie Krzysztofie... jak się on ma? jak się on ma?...

— Zażądał księdz, — odpowiedział Malecki. — Ale dobrze, że przyszłaś pani, on ciebie chciał widzieć.

Malwina konwulsyjnie ścisnęła dłoń Maleckiego, znać było, że walczy z sobą, ale za słabą już była do przeprowadzenia zwycięskiej walki. Kilka jeszcze takich kurezowych uścisków i pierś jej drgać zaczęła łkaniem silnem, a chcąc łyzy ukryć czy jęk stłumić, uderzyła czołem o pierś starego i chwiała się tak przytulona do ramion pana Krzysztofa... Chostyna podbiegł, ale nie wiedział sam, co miał robić. Rozkładał to składał krótkie swoje ręce, niezrozumiane znaki angielsce dawał, z lewej to prawej strony zachodził, mrugając tylko coraz szybciej powiekami.

W pokoju Andrzeja dał się szmer słyhać — to księdz Ambroży skończył spowiedź i szedł ku drzwiom. Panna Malwina podniosła głowę ciężką i w te drzwi się wpatrzyła. Wszedł księdz, postawił sakramenta na przygodnie zrobionym ołtarzu i zrzucając komżę, zwrócił się do czekających.

Nie zdziwiła go obecność Malwiny, podszedł do niej szybko i gdy ona blada i drżące usta do jego przykładała ręki—odezwał się śpiesznie:

— Spodziewałem się ciebie—dziecko moje, spodziewałem... Mówiło mi przecucie, że przyjdiesz. Ludzie mają swój, a Stwórca swój rozum!... Panie Boże wszechmogący—zawołał nagle—jaka ty blada jesteś?... To, aż tak, aż tak wasze serca miłością zostały objęte?...

Łagodnie oczyma patrzył na wychowaną swoją, która stała przed nim bez łez już na oczach, tylko chwiejna i drżąca, z niedostrzegalnym prawie oddechem piersi...

— Czy można... wejść mi tam—zobaczyć... szepnęła...

— Ależ chodź, dziecko, chodź — to było życzeniem jego... O tobie tylko myślał i mówił o tobie. — Ja wiedziałem, że otrzymawszy list Chostyny przyjdiesz, — a kto wie, kto wie — czy Bóg przez ręce twoje życia mu nie wróci...

Pan Krzysztof podszedł...

— Błogosławić cię będę—rzekł podnosząc trząsące się ręce... Idź, pani, idź do niego!

Czy wyostrzony słyha Andrzeja chwycił te szepty ciche, czy przeczuł przyjsie Malwiny — dość, że gdy prowadzona przez księdzą stanęła na progu jego pokoju—już on się uniósł z pościeli i trzymał wyciągnięte ramiona...

Malwina podbiegła i padła na klęczki przed łożem...

Andrzej uchwycił jej dłoń i zaczął pocałunkami okrywać...

— Pani, moja dobra, moja... moja... szeptał. — Powtórz mi te słowa, któreś ojcu mojemu powiedziała, a żyć będę!...

Usta Malwiny poruszyły się szepem cichym—nikt szeptu tego nie zrozumiał, ale Andrzej w tej chwili głowę swoją unióż, którą otoczyły ramiona Malwiny, a usta jej na czole jego spoczęły — — Zostawali tak długo w niemym uścisku, w zapomnieniu zupełnem, w ciszy, w której dwie dusze tylko, niesłyszana przez nikogo, rozmowę z sobą wiodły.

Księdz Ambroży stał przy nich i patrzył i myślał o czemś. Widocznie w duchu swym rozplątywał tajemnice serc ludzkich, pytał Boga o Jego wyroki, coś ważył na szali swych myśli... Po chwili, podnosząc czoło ku niebu, odezwał się głosem poważnym:

— Co Bóg łączy, niech ludzie nie rozłączają. — Nie wolno sprzeciwiać się wyrokowi Pana, nie wolno łamać Jego przeznaczeń... Czy nie widzicie, wszyscy obecni, że wyrok Boży czytelnymi zgłoskami wypisany tu został? Co opór ludzki, gniew ich głupi znaczy przed wolą Jego potężną?...

Pochylił się...

— Andrzeju—szepnął—Kochasz?...

— Kocham!—odpowiedział...

— Malwino—spytał—Kochasz?

— Kocham!... odpowiedziała...



— Zaręczam was—stoję przy was i będą obroną waszą...

W tej chwili Malwina pochyliła się do stóp księdza, a Andrzej promiennym, jasnym, pełnym wielkiego szczęścia spojrzeniem patrzył na anioła—kapłana...

Ksiądz Ambroży w milezeniu zdjął z palca Andrzeja maleńkie kółko złote, z paluszka Malwiny piękny pierścień brylantowy i zamienił te zaręczynowe obrączki. Gdy obrzęd ten dokonany został, zwrócił się do pana Krzysztofa, który twarz ukrył w dłoniach i płakał...

Malwina podeszła do płaczącego...

— Panie Krzysztofie—czy mnie nie chcesz? spytała...

Stary głośnym ryknął płaczem...

— Ja nie chcę? ja nie chcę?... tylko szczęśliwi bądźcie, tylko bądźcie szczęśliwi — — przez łzy mówił.

Przytulił Malwinę do piersi, i zaczął dłońmi miękkie warkocze jej gładzić — do serca ją przyciskać i szeptać...

— Musisz go bardzo kochać! Taka miłość wszystko przebacza, wszystko zwycięża!...

Podszedł do syna i patrząc w rozjaśnioną twarz jego—spytał...

— No cóż Anderku—co? co?...

— Nie, mój ojciec — tylko żyć będę, żyć muszę, w takiej chwili nie umiałbym umrzeć...

A do Malwiny rzekł:

— Do mnie, moja dobra—chodź do mnie... Ja jestem silny, zdrowi!...

— Teraz mi nikt ciebie nie wydrze — zawołała Malwina — — i zbliżyła się do wzywającego ją Andrzeja...

Był bardzo osłabiony i blady, lecz jeszcze piękniejszy niż dawniej. Twarz miała przezroczystość alabastru, na której teraz bardzo lekki rumieniec rozwijać się zaczął — w żrenicach powiększonych, świecił blask wielkiego spokoju i szczęścia, — — a choć już późna noc była, nikt nie dostrzegał śladu gorączki...

— No, teraz i my przywitajmy się—rzekł Chostyniecki. — Co ja się tego niespodziewałem do prawda! a że się spłakał, jak należy, to druga prawda. — Teraz pomiędzy was wszedł ksiądz — on wszystko musi do akuratanego końca doprowadzić, bo on mądrość ma, uważanie Baczyńskiego, szacunek ludzki i — tylko niech Anderek zdrow będzie — ślub dal...

— Ślub! szepnął Andrzej — czy słyszysz?...

Malwina rozkochanami oczyma patrzyła na ukochanego — usmiech szczęścia jej usta poruszały...

Ale wspomnienie Baczyńskiego na czoło pana Krzysztofa rzucało chmurę. — Pochylił się, coś szepnął księdzu, który uniósł dłoń w górę, jakby na niebo wskazywał...

Niemym świadkiem całej tej sceny była miss Mary. — Zapomniano o niej zupełnie, bo niezapomnieć nie można było. Siedziała w oddaleniu od narzeczonych, nie spuszczała z nich oczu, szczególnie spojrzenie długie zatrzymywała na Andrzeju, którego widziała raz pierwszy i który jej wydał się tak piękny, jak sny jej własnej młodości.

Krom tych świadków byli i inni, nie widziani jednak przez obecnych. Gromadka zaściankiewiczów, cisnęła się do okien i przez szpary zasłon niejedno dostrzegła. Biegły więc szepty, ciche okrzyki zdziwienia i z ust do ust podawano komentarze różne.

— Panna z pałacu — mówiono.

— Andrzej.

— Ksiądz zaręczyny zrobił — —

— Czy stary Baczyński wie o tem?

Dziwiono się, kiwano głowami, ale w niczyjem sercu, prócz jednym tylko, nie było uczucia zawiści. Osobą, która do krwi przygryzała zaciśnięte usta i targała rękawy swej sukni, była Petrusia.

— Czego ta panna w drogę mi weszła, w jaki sposób mogła zabrać mi Andrzeja!...

Wściekły gniew wrzał w sercu Petrusi, rozdęte nozdrza wachlowały a usta wyrzucały słowa zjadliwe.

— Gałganica — co ona myśli sobie?

W tem przed dworkiem szmer się zrobił. Ksiądz, Malwina i miss Mary opuszczali mieszkanie pana Krzysztofa.

Jakaś zła myśl zrodziła się w tej chwili w głowie Petrusi — skoczyła w bok, podniosła kamień leżący

na ziemi i okryta mrokiem cisnęła go na Malwinę. Kamień upadł tuż przed nogami panny Baczyńskiej i podbił księdza odbijając się od ziemi, że o mało staruszek nie upadł.

— A to co? — zawołał obracając się do gromady — kto rzucił ten kamień?...

Odpowiedziano szmerem tylko — nie wiedząc o co mu chodzi. Gdy dowiedzieli się, co znaczy pytanie księdza — oburzenie było wielkie. Ale Petrusia umknęła okryta cieniami nocy. Domysłano się jednak sprawcy złego postępku, a Janek, brat Jagny mruknął przez zęby:

— Nie narażaj się, podwiko — bo ja ci za Anderka oczy wydrapię.

W pałacu jarneńskim gnębiąca zapanowała atmosfera. Baczyński wielkimi krokami chodził po sali — blady był śmiertelnie a usta tłumionym gniewem miał ściśnięte. Pani Olimpia opowiedziała mu rozmowę, jaką miała z Malwiną, która odrzuciła stanowczo oświadczenia hrabiego Izzydora; powiedziała, że miłość jakaś zajęła jej serce, ale ukryła, kto był jej przedmiotem — Malwina się przyznać nie chciała, choć nie zaparła się uczucia. Baczyński chodził więc wzburzony i rozplątywał ciemny węzeł zagadki.

Miłość? Zkąd, jak ona tu weszła — —

Gmach jego marzeń runął,

Po chwili przywołując spokój konieczny, udał się do mieszkania Malwiny.

Nie zastał — — służba nie wiedziała kiedy i dokąd wyszła, jeden tylko Onufry zaciął się w odpowiedziach.

— Ruszaj! — rzekł mu Baczyński — i zbliżył się do biurka córki, na którym w szeregu rozrzuconych szkiców leżał i pastylowy portret Andrzeja.

Baczyński nie znał syna pana Krzysztofa, portret ten zaś niejednokrotnie już widział i brał je za zwykłe studyum, robione z fantazyi. Teraz jego uwagę zwróciły plamy, które dziwnie do łez wyschniętych były podobne; z boku dojrzał ręką Malwiny skreślone trzykrotne wyrazy:

— Kocham!...

Twarz piękna, rozum i siła patrzyły z tej twarzy — czyją jest ona?

Myślał długo i wzrok jego mimowoli padł na duży portret Krzysztofa.

Baczyński zerwał się i stanął, jak słup — —

— Co? co? — zazgrzytał — —

Stał chwilę nieruchomy, z drżącymi wargami, straszny myślą, która we łbie mu się zrodziła.

— Olimpio! — wrzasnął nagle.

Pani Olimpia posłyszała krzyk męża i wbiegła strwożona.

— Patrz — patrz — patrz!... — mówił, drżąc cały, pokazując na podpis i łzy wyschnięte.

Pani Baczyńska zachwiała się.

— Tak — rzekła po chwili — to on!... Malwina mi się przyznała — —

— Czyż ona myśli, że ja — ja... zezwolę?...

— Mówiłam jej o tem — — szepnęła pani Olimpia.

— A ona?

— Szalenie kocha — rzekła matka.

— Czyż nie starała się jej wytłomaczyć... Co ona myśli sobie?...

Pani Olimpia zacięła się.

— No — mów! — krzyknął Baczyński.

— Mówiłam jej wszystko — —

— A ona?

Znów milczenie — —

Na usta pana Lubomira wbiegła piana gniewu.

— Cóż ty mi dzisiaj nie odpowiesz?

— Mężu — czy nie znasz jej? — odezwała się Baczyńska, i dłonie załamała. — Mówiłam jej o twoim gniewie, o tem, że nigdy naszego pozwolenia nie otrzyma — a ona mi przypominała słowa twoje powiedziane niegdyś do niej, że kochasz ją, że nie jej odmówić nie możesz, że — nie odmówisz. A gdyby przeciwnie było...

— To — to — to?... — spytał Baczyński.

— Ona pójdzie drogą przez los jej wskazaną — a gdyby użyto siły, ona — — umrzeć potrafi...

Baczyński zachwiał się i padł na fotel — —

— Kłeska! — zawołał.

W tej chwili posłyszał czyjeś kroki.

To szedł ksiądz Ambroży, Malwina i miss Mary. Baczyński podniósł się i czekał na idących. Znać było po jego twarzy wyrazie, że się nie podda ani ogniu. Pani Olimpia z drzeniem serca czekała straszego spotkania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Książki dla dzieci i młodzieży.

### II.

Nakładem księgarni M. Arcta wyszło kilka bardzo zajmujących, dobrych książek dla młodych czytelników, z pośród których *Kazio* przez p. Waleryą Marenne należy zaliczyć do najlepszych. Przedstawioną tu jest rodzina, złożona z czworga sierot, które prócz Boga nad sobą nie mają nikogo, który by im był opieką i pomocą, a przecież dźwigają się jak mogą i usiłują iść szlakiem życia prostym. Brat najstarszy, Julian, mający lat dwadzieścia dwa, student uniwersytetu na wydziale medycznym, uważa to sobie za obowiązek aby jako najstarszy pracował na utrzymanie rodzeństwa, lecz rzecz jest trudna bardzo, bo oto nadeszła dlań chwila zdwojonej pracy — chwila egzaminu na patent dojrzałości i nie może też dawać lekcji, które dostarczały rodzinie grosza, potrzebnego na utrzymanie życia. Nie trzymają też stałej służby; stara Maciejowa, niegdyś kucharka u ich rodziców, przychodzi tylko na godzin parę pomódz w gospodarstwie siostrze, z pośród których najstarsza, Jadwiga, bierze odważnie na ramiona brzemię to ciężkie.

Ze dzieci były przyzwyczajone do innego, wygodniejszego, wytworniejszego życia, więc nieraz skarżą się i narzekają na braki rozmaite. Julian objaśnia je też, jakim jest ich położenie, a gdy mały Kazio rozplakał się gorzkimi łzami, mówi poważnie tulącej go Jadwidze, że już dziecko należy przygotowywać do prób, doświadczeń życia, z któremi każdy rachować się musi, pod karą zwichnięcia sobie przyszłości jego całej.

Zwalczyć w sobie chęć używania, to zdobyć siłę, która daje swobodę ducha, wolność jego. Dzieci, starsze zwłaszcza, rozumiały to rozumne zdanie. Kazio, chłopczyk żywego umysłu i dobrego serca, usiłuje o ile można ulżyć ciężaru ich wychowania starszemu rodzeństwu, dziewczątka biorą się o ile mogą do roboty i mieszkanie na facytce jest pracą ich ręki utrzymaną w ładzie należytych. Kazio stara się też uczyć dobrze z tą myślą, nigdy go nie odstępującą, aby mógł co najprędzej pomagać starszemu rodzeństwu i cierpliwie też znosi te próby przykre, że koledzy jego szkolni szydzą z jego wytartego mundurka. Raz przeciw rozplakał się biedaczek, dotknięty bolesnym jakimś przyceinkiem w tym przedmiocie, lecz brat starszy tłumaczy mu, że łzy ludzkie płynąć powinny tylko nad innego rodzaju niedolą i całą ta powieść, obejmująca tomik dość gruby, jest jedną z najlepszych w literaturze dla młodzieży, tak pod względem obranego przedmiotu, jak i przeprowadzenia go odpowiedniego, a zakończenie jej jest rozumną nietylko dla młodego czytelnika nauką: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim.“

— *Wesoła drużyna*, powiastki z dwunastu obrazkami przez Jadwigę Chrzaszczewską, przeznaczone dla małych dzieci, rozpoczyna powiastka *Jagódka* o dziewczynce, tak słodkiej i miłej ludzkom, jak jagódka i dla tego tak przezwaną przez otoczenie swoje, choć rzeczywiste jej imię jest Marychna. Raz matka wysłała ją do lasu po grzyby, których przyniosła koszyk cały, nie spełniwszy przeciw żądani braciszka, który ją prosił o muchomorzy z powodu, że chciał dzierać z nich sobie ezerwoną powłokę wierzechnią i dziewczynka zobaczywszy w lesie jeden z nich i to szczególnie duży, już wyciągnęła rękę po niego, ale naraz ogarnął ją żal, bo skoro nie może służyć na żaden dla człowieka użytek, czemu go niszczyć? — Żyć sobie... rzekła litościwie i odejść chciała, gdy naraz muchomor przemó-



wił głosem ludzkim i wytworzył się z niego śliczny młodzieniec w czerwonym płaszczu, który za uratowanie mu życia dał jej w podarunku czerwony swój płaszcz, mający moc taką, że czynił niewidzialnym każdego, kto się nim odział i który pomógł też dziewczynce, że nie tylko uszła raz sama okrutnej śmierci pożarcia przez wilka, ale uratowała od niej nie mało zwierząt, a co więcej zły czarownik, w wilka zaklęty, zginął spalony dotknięciem płaszcza. Choć moral jest tu nauczający, jak i w następnej powieści, *Skrzydlate trzewiczki*, nie jest to zupełnie dobre dla małych dzieci czytanie, bo fantazyja to nie taka, która unosi myśl w krainę szlachetnego ideału i lepiej jest zawsze, gdy dziecko młode, podstaw życia nie znające, ma stawiane sobie obrazy piękna moralnego. Książkę zakończają jeszcze dwie powieści: *Orcio* i *Tancereczka*.

— *O krasnoludkach i sierotce Marysi* przez Maryję Konopnicką, historia fantastyczna o królu Błystku, który odziany zawsze szatą purpurową mieszkał w pałacu kryształowym, gdzie przecież nie można było palić ognia, więc monarcha ten grzał się jedynie przy blasku złota i srebra, przy płomieniach brylantów, a odziany był zawsze szatą z tej przędzy, którą na wiosnę snują czerwone pajęczki. Nie było mu więc ciepło i wysyłał też w świat różne usługi swoje, aby dały mu wiadomość żali wiosna przyjdzie już wkrótce? a pomiędzy jego dworzanami był kosałek Opalek i fantastyczna historia jego podróży i inne, jak „Wyprawa Podziomka“ może nie dość zainteresuje młodych czytelników, bo nie jest to ta szczerze swojska bajka ludowa, ulubiona przez wszystkie dzieci, idących po sobie pokoleń i zostająca nam w pamięci na zawsze. Naśladować ją trudno, bo ta prostota wdzięczna, która stanowi tu urok główny, nie daje się odtworzyć sztucznie. Dwanaście rycin kolorowych, odpowiadających przedmiotowi baśni, książkę zdobi.

— *Podania o starożytnych półbogach i bohaterach*, spolszczone przez J. Popławskiego z jedynastu kolorowymi obrazkami, jest książką, która nie tylko pociągnie młodego czytelnika przez fantastyczne obrazy legend Grecji i Rzymu, ale da mu i wiedzę pewną o tym świecie starożytnym, którą znać nam trzeba, bo przedstawia on zaranie istnienia ludzkości, która w pierwszym rozwoju myśli i uczucia potrzebowała już jakiegoś ideału, podnoszącego człowieka nad materialne tylko istnienie i w mocach natury szukała już bóstwa, które rządzi tą naturą. Autor wykazując w przedmowie potrzebę wiadomości mitów starożytnych dla rozjaśnienia sobie moralnej historii człowieka, upomina się zarazem o poezję jego pierwotną, która jest:

...jak lampa z kryształu,  
Ubrana pędzlem w czarowne obrazy  
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy.  
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,  
Jeśli świeżością barwy znęci oczy,  
Jeśli na ścianach pałacu roztoczy  
Krasne, acz nieco przyćmione kobierce.

M. I.

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 9 Grudnia.

Zniknął z widowni świata jeden z największych potentatów pióra! Umarł Aleksander Dumas syn, a wobec tego doniosłego wypadku maleją wszelkie inne drobniejszego znaczenia fakta i wiadomości tutejsze.

Czem był Aleksander Dumas jako pisarz, o tem wiedzą daleko po za granicami Francji. Czem zaś był jako człowiek, wie tylko szczypta garstka wybrańców, którzy z bliska dotykali słynnego autora.

Uwzględniając te obydwie strony, postaramy się skreślić sylwetkę wielkiego dramaturga. Na to miano Dumas w zupełności zasługuje, gdyż wszelkie jego dzieła treści beletrystycznej nie dosięgły tej miary doskonałości, jakimi są jego utwory sceniczne.

Utwory te budziły zawsze żywe polemiki krytyków, wywołane jaskrawością tendencji, wikkłających się na śliskim gruncie nieprawych stosunków. Dzieła te natychmiast po ukazaniu się obudziły żywą sensację i od razu zwróciły oczy wszystkich na młodego autora. Nazwisko, które nosił, już było okryte sławą, ale jeszcze potężniejszym zajaśniało blaskiem po rozgłosie, wywołanym subtelną i głęboką charakterystyką zagadkowych natur kobiecych. Wszystkie swe prace poświęcił na rozwiązanie tych zagadnień, tak wysoce ważnych dla swej socyalnej i etycznej natury.

Postuchajmy, co o nim mówi Jules Claretie.

„Teatr pozostał do dnia dzisiejszego niezaprzeczoną chwałą Francji. Wiemy o tem tak dobrze my sami, jak i obcy. Palmę pierwszeństwa na tem polu dźwierzają niepodzielnie w swych rękach francuzi, a dzieła ich tłumaczone na wszystkie języki, przyswojone, rozechwytały, zrabowane!... Można porównywać z naszymi malarzami—włoskich, hiszpańskich lub węgierskich malarzy; naszych komedyopisarzy nie można z żadnymi innymi porównywać.

Człowiekiem, który najwięcej przysporzył chwały teatrowi francuzkiemu był Dumas syn. On pierwszy stworzył dramat i społeczną komedię; zrobił je tem, czem są obecnie na naszej scenie. On im dał życie i natechnął je prawdziwymi ludzkimi uczuciami, on zaszczerpił nienawiść do poziomego konwencyonalizmu, i te uczucia przez niego rozbudzone coraz dalej się dzisiaj rozwijają w dziełach innych autorów.

Kiedy Dumas wystawił poraz pierwszy „Dagę kameliową“, w jakimże stanie znajdował się wówczas nasz teatr? Z małymi wyjątkami wystawiał on za Scribem całą falangę sentymentalnych wodewilów i komedji, w których nawet genialny Emil Augier jeszcze wtedy stroił swoich bohaterów scenicznych w aksamitne i jedwabne dawne ubiory.

W takiej to epoce Dumas rzucił przed oczy tłumowi tragedję, we frak i społeczne kostiumy ubraną. A nie było to małą rzeczą dla teatru ówczesnego zerwać z odwieczną rzymską togą lub grecką tuniką, aby je zastąpić społecznymi ubiorami, w których się poruszali bohaterowie obecnej doby, płażący naszymi łzami, radujący się naszymi uśmiechami.

Natechnienia do sztuk swoich szukał Dumas w samym sobie, w swoich własnych uczuciach, wspomnieniach i smutkach. Nie ma też innej metody dla artysty nad jego własne serce!

O sobie samym powiedział Dumas takie słowa:

„Gdyby wiedziano, ile samego siebie włożyłem w moje dzieła, ile wypadków z mojego życia jest w każdej z moich sztuk! O tem dowiedzą się ci tylko, którzy będą czytali moje dzieła, wydane w kilkudziesięciu egzemplarzach, przeznaczonych dla garstki bliźszych przyjaciół. O ile będę mógł, opowiem im, z jakiego źródła uczęć czerpałem natechnienie i prawdę. Lecz czy to będzie wszystko? Nie! Bo nie można nawet po eichu, nawet najlepszemu przyjacielowi wypowiedzieć wszystkich najciekawszych momentów ze swego życia. I oto dla czego zwykle wszelkie biografie nie znaczą i nie służą do niczego.“

Z dzieł znają wszyscy Dumas, jako znakomitego dialogistę i dowcipnego komedyopisarza. W życiu prywatnym żywa, pełna ognia i humoru rozmowa była także jego znamioną cechą. Przytem miał dowcip ostry, niekiedy boleśnie nawet rażący, chociaż nie pochodzący z nienawiści i złości do ludzi. Uczynny i nie tylko pozornie dobrym był dla bliźszych przyjaciół; tylko, że od lat wczesnych napatrzywszy się na rozrzutność swego wielkiego ojca, umiał Dumas powstrzymać się od zbytniego szafowania pieniędzmi i ztąd nazywano go niekiedy skąpym.

Kilka lat temu pewnemu niemieckiemu krytykowi wypowiedział te słowa:

„Mój ojciec urodził się w epoce poetycznej i romantycznej i został idealistą. Ja przyszedłem na świat w czasach materializmu i jestem realistą. Mój ojciec szukał treści w swej fantazyi, ja ją biorę prosto z życia; on pracował z zamkniętymi oczyma, ja ciągle czuwać; żył zdala od rzeczywistego życia. Ja jestem w nie wcielony. Mój ojciec, że tak powiem, rysował,—ja fotografuję; z trudem wyszukiwał modeli, moje modele każdy palcem wskazać

może; on szukał faktów, ja szukam zawsze idei. Taka jest między nami różnica.“

Pod względem fizycznym Dumas także do ojca nie był podobny. Był wzrostu średniego, ciemny szatyn z długimi oddawna już siwymi wąsami którym dawnego sarmatę przypominał. Przed rokiem ożenił się powtórnie z młodą osobą. Umarł otoczony rodziną niedaleko od Paryża we własnej willi w Marly le Roi. Zwłoki sprowadzono do Paryża do prywatnego mieszkania autora przy ulicy Alphonse de Neuville. Choroba, która się stała przyczyną śmierci Dumasa, miała swoje siedlisko w mózgu i oddawna była przez niego przewidziana. Dumas był zwolennikiem chiromancy, wierzył w nią i był uczniem i gorącym wielbicielem Desbarrolle'a. Otóż kiedyś Desbarrolle przepowiedział mu przyszłość z dłoni w te słowa:

— Linję głowy masz niedobrą.

Od tej chwili Dumas nosił to przekonanie, że umrze na chorobę mózgową, co właśnie miało miejsce.

Pogrzeb odbył się przy ogromnym napływie publiczności, złożonej z najznakomitszych przedstawicieli świata artystycznego, teatralnego i literackiego. Zwłoki spoczęły na cmentarzu Montmartre. Pogrzeb był wspaniały; pomimo że zmarły zastrzegł sobie, aby nie było na nim żadnej mowy ani parady wojskowej.

Senator i adwokat Waldeck-Rousseau będzie podobno kandydował do akademii francuzkiej na krzesło wakujące po Dumasi.

Kronika żałobna ma jeszcze do zapisania na swej karcie imię Juliusza Barthélemyego Saint-Hilaire senatora i filozofa a w części znakomitego męża stanu, zajmującego w polityce miejsce umiarkowanego republikanina. Karyerę swoją zmarły rozpoczął jako dziennikarz. W r. 1875 został zaliczony w poczet członków senatu, a za czasów gabinetu Juljusza Ferry'ego w r. 1880—1881 był ministrem spraw zagranicznych. Napisał wiele dzieł treści filozoficznej, z których najlepsze są: Budyzm chrześcijański, Mahomet i koran, Wedy, Myśli Marka Aureliusza i wiele innych.

Umarł też tu znany autor Artur Arnould, piszący pod pseudonimem Mathey'a. Napisał historję komuny, mnóstwo romansów i powieści oraz redagował *Lothus bleu*. Był jednym z najczynniejszych teozofów, a jako taki był przyjacielem księżnej de Pomar, niedawno zmarłej w Paryżu.

A teraz ślę garstkę weselszych wiadomości, których nie brakuje na naszym bruku. Bale, rauty, obiady i co kilka tygodni teatralne premiery składają się na życie i gwar nieustanny Paryża.

Z premier zaznaczam najpierw Panurg'a; libreto Meilhaca, muzyka Planquette'a wystawionego w teatrze Gaîté. Najweselszy z autorów i tym razem zdobył ogromne powodzenie treścią sztuką, której tylko dobrej muzyki brakuje aby została areydziedłem w swoim rodzaju. Wystawiona z wielkim przepychem, baletem, dekoracją i pięknymi aktorkami ściąga tłumy.

Wodewil wystąpił z oryginalną sztuką Henryka Lavedan'a, zatytułowaną „Viveurs“. Główne bohaterki, pp. Réjane i Yatme grają świetnie. Sztuka doznała wielkiego powodzenia, pomimo że krytyka zaleca jej brak głębszej literackiej wartości. W każdym razie skreślone obrazy, schwyte żywem z życia paryzkiego, i wystawione na tle świetnego zewnętrznego marzenia. Akt I rozgrywa się w salonie modnego krawca. Obicia i draperje vert-liberty; meble angielskie politurowane mahoniowe w stylu królowej Anny, słowem urządzenie podług ostatniego sztyku dzisiejszej mody. Na tle tej świetnej dekoracji autor przedstawia cały szereg figur, żyjących w wirze paryzkiego życia. W ten sposób przed oczyma widza defilują postacie, zebrane z rozmaitych klas społeczeństwa; jeden zobopólny interes sprowadził ich wszystkich do tego mistrza zbytku. Ten zna na wylot swoich gości; zna wszystkie plotki i skandale, krążące o nich po bulwarach. Nikt by nie poznał tego z jego miny, gdyż wszystkich przyjmuje z równą powagą i elegancją. Obraz zanadto chaotyczny jak na akt pierwszy.

Akt drugi toczy się w modnej restauracji pomiędzy jedenastą a drugą popołnoy.

Akt trzeci i czwarty ma takie same salonowe dekoracje i te same rozbawione sylwetki dam i męż-



czyn, które autor wywołał na scenę dla pokazania jak w rzeczywistości wyglądają i dla osądzenia przez tych, którzy za używających świata ciągną ciężką tarczkę żywota. Cel ten został osiągnięty. Sztuka jest przede wszystkim wysoce moralną, pomimo drastycznej chwili rozdzierania się pań na scenie (akt I), kiedy zebrane damy kolejno mierzą suknie i wogóle pomimo całej swobodnej gwary bulwarowej.

Niesmaczny jednak koncept zakończy sztukę. Wymyślił go stary, także rozbawiony ojciec dla wesołego towarzystwa, zebranego u córki. W przystępie wesołości sprowadził omnibus pogrzebowy dla przewiezienia gości na dworzec kolei, z kądem udać się mają wszyscy na wspólną wycieczkę po Szwecji. Kurtna zapada po tym nie zupełnie szczęśliwym pomysle.

Dzieło słabszej wartości literackiej, lecz ożywione szlachetnymi dążeniami, dał nam po długim milczeniu autor *Córki Rolanda*. Jestto dramat wierszem, zatytułowany *Le fils de l'Arétin*, pełen tragicznej siły, ale zupełnie pozbawiony psychologii życiowej. Autor stworzył postacie sztuki, aby im wcielić swoje idee; chciał uzmysłowić abstrakcję w ludziach i zrobił ich sztywnymi, bezdusznymi istotami. Pomimo tych usterek dramat sprawia przejmujące wrażenie, gdyż jest niekiedy oświecony pięknymi blaskami tragicznej grozy. Jeżeli p. Bornier nie stworzył doskonałości, to w każdym razie należy mu się pokłask za szlachetne usiłowania.

Komedia francuzka obsadziła nowe dzieło najlepszymi siłami. W ostatnim akcie Mounet-Sully wprost przeraża siłą uniesienia. Bary rolę Orfinia gra z wielkim talentem. Panie Dudlay, Reichenberg i Pierson idealnie uosabiają miłosierdzie, niewinność i rozpacz.

Świeżo wystawiony *Kapitan Floréal* napełnia kasę teatrowi Ambigue. Składają się na to patryjotyczne deklamacje, sztandary, mundury, miłosne intrzygi, wspaniałe dekoracje i znakomita gra artystów.

Teatr *Oeuvre* rozpoczął od połowy listopada swoje przedstawienia dramatem angielskim p. t. *Wenecja uratowana*. Silnych wrażeń w nim nie brakuje, ale to chyba i wszystko, co o nim można powiedzieć.

Komedia M. Donnay'a *Les amants*, wystawiona w teatrze Sary Bernhardt zdobyła sobie niepoślednie powodzenie dzięki wielkiej ilości dowcipu, zawartego w modnym temacie, i znakomitej grze panny Granier, przyjaciółki Sary, a dziś pierwszej gwiazdy teatru Renaissance.

Opera komiczna wystawiła *Ksawerę*, trzyaktową muzyczną idyllę Teodora Dubois, profesora harmonii w tutejszym konserwatorium. Libretto do niej napisał Ludwik Gallet. Muzyka bez szczególnej oryginalności nosi na sobie piętno dzieł Gounod'a.

Oprócz tych nowości muzycznych każdy tydzień przynosi nam inną, w którymkolwiek z czterech niedzielnych koncertów, gdyż obecnie oprócz dawnych koncertów Colonna i Lamourent'ego jest jeszcze trzecie przedsiębiorstwo koncertów niedzielnych, nazwane *Concert Harcourt*, a jednocześnie wystąpiono także z niedzielnymi koncertami i w wielkiej Operze. Szkoda tylko, że wysoka cena miejsc uniemożliwia ich popularność.

Muzyki, jak widzicie nam nie brak. O innych zaś wesołościach i uroczystościach innym razem obszerniej pogawędzimy.

C. H.

## Wielka wystawa międzynarodowa sztuki, W BERLINIE. (Z wrażeń turysty).

V.

Berlin, widziany bezpośrednio po zwiedzeniu miast francuskich i belgijskich, a nawet staro-niemieckich, czyni wrażenie bardzo wspaniałego, bar-

dzo bogatego i bardzo przejętego ważnością swej osoby—dorobkiewicza. Imponuje poprostu, tem co ma, co może i na co go stać. Zdaje się, że gdyby głos posiadał, pokazałby ci sam nowsze nabytki, nadmieniając z przechwałką doniosłość ich, oraz cenę wysoką, za jaką kupione zostały.

Wrażenie to, czysto subiektywne, podniesione nastrojem, wzbudzone przez stare zabytki i artystyczne pamiątki, każe, wobec wspomnienia skarbów tych, utrwalonego jeszcze na siatkówce, spoglądać innym wzrokiem na bogatą stolicę Niemiec. Miasto olbrzym, które, widziane niejednokrotnie w odrębnych warunkach, pięknem nam się zdawało, obecnie traci na wielkopańskiej powadze, na tem czemś nieuchwytnem, co znamionuje starożytność pochodzenia, a przez cechy artystyczne jedynie zastąpionem i przewyższonem być może. Widzisz, że to nie gniazdo średniowieczne, zasługami panów swych uświęcone i nie dzieło geniuszu, w którym iskra Boża przysłoniłaby i uszlachetniła brak wiekowych tradycji. Nie, to świeżo wzniesiona siedziba potęgi finansowej, świadomej celów swych i doniosłości.

I, w świetle tem, zaczynają nam się zupełnie inaczej przedstawiać olbrzymie gmachy, w stylu odrodzenia, na których lakier nie zasechł jeszcze. Piękne, potężne; każdy z nich mógłby nieledwie służyć — na koszary. Refleksya niewinna napozór; a jednak, wobec niej, szerokie, proste ulice, asfalem wylane, mniejszy podziw w nas budzą. Nie wzniesła go również widoczne bogactwo stolicy oraz rozwielenione nadmiernie, a błyszczące zdala sklepy z tandetą, których jedyną dewizę stanowi: *Schlecht, aber billig*.

Berlin zbyt jest bliski Warszawy i zbyt dobrze znany tysiącom osób u nas, abym o osobliwościach jego i zbiorach miał prawo tu wspominać. Któż nie widział słynnej „Kolumny Zwycięstwa“, nie zwiedzał pałaców i zamków cesarskich, nie podziwiał „sali białej“ lub tronowej? Kto nie wie, jak brzydkim jest gmach opery, a ciężką, w zarysach architektonicznych, katedra Sw. Jadwigi? Wszyscy również podziwialiśmy nowsze budowle, głównie zaś: Galeryę narodową, lekkie i wdzięczne Muzeum, a wreszcie... — o o, bodaj skończyły się pomnikowe budowle Berlina, — wreszcie, teatry, banhofy. Pałac sprawiedliwości w Moabicie i cały ten szereg gmachów, nietyle pięknych, ile potężnych, które pomnożone zostały w roku bieżącym, wspominać już przez nas, siedzibą parlamentu. Złożona jej kopułka będzie wkrótce tak dobrze znana panom naszym, jak *Kaiser-Passage*, olbrzymie magazyny: Herzog'a, Haase'go, Mahneimer'a, Kaiser'a oraz, po za temi wyroczniami mody i smaku, szerokie morze tandety galanteryjnej, rozlane bez żadnych zastrzeżeń, na *Leipziger*-i *Friedrichstrasse*.

O opisach więc Berlina, mowy nie ma. Wolno mi jednak zaznaczyć różnicę w charakterystyce jego, jaka mię uderzyła po trzyletnim niewiedzeniu tej chwały Niemiec.

Przedewszystkiem „chwała“ przyswoiła sobie wszelkie najnowsze zdobycze cywilizacji. Otwierasz drzwi windy, a oświetla ją natechmiast róża z delikatnego kryształu, z ukrytą wewnątrz lampką żarową; dotykasz klamki swego pokoju, a zapala się żyrandol, w pośrodku sypialni zawieszony; siadasz przed biurkiem, żyrandol zaś gaśnie automatycznie, ustępując miejsca lampie, która oświetla przybory do pisania. Elektryczność i umiejętnie jej użycie doprowadzone tu zostało do szczytu, tak, że nawet w ogródkach letnich teatrów, wśród rzeczywistej zieleni, rozjaśniają noc kwiaty, w których sereu światło ukryte. Zastosowanie go przestało być rzeczą zbytku lub popisu, a uznane zostało za warunek komfortu i rzeczywistej potrzeby.

To umiejętnie zużycie nauki do celów przemysłu, daje się tu spostrzedz na każdym kroku. Na każdym zdumiewa również: bogactwo, wzorowa gospodarka miejska, i szalenie szybki rozwój miasta.

Jednym słowem, magnat to potężny, wprawdzie świeżej daty, ale wzamian tak możny, iż wolno mu pozwalać sobie nawet, gwoli własnej sławy, na lukulusowe, artystyczne uczty, do których zaczyna nabierać upodobania. W jednej z nich pozwolono nam wzięść udział. Zwała się ona: „Wielka wystawa międzynarodowa sztuki“, a zgromadziła w Berlinie, cały kwiat artystyczny Europy, bo dzie-

ła współczesne rzeźby i pędzla, wszystkich cywilizowanych narodów.

Turniej ten międzynarodowy zajął gmach wystawowy w *Ausstellungs-Parku*, a więc 54 salony. Czyż nie magnat tylko na zbytek podobny pozwolić sobie może?

Wystawa owa sztuki europejskiej, to objaw tak nowy, iż wrażeniami jego pozwalamy sobie podzielić się z tymi nawet, którzy Berlin znają dokładnie.

W trójkącie, zawartym między *Alt-Moabit* i *Invaliden Strasse*, bliskim kolei miejskiej, lecz oddalonym od gwaru śródmieścia, przygotował Berlin gościnę dla przedstawicieli sztuki współczesnej. Wszystkie wybitniejsze narody, ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki na czele, wzięły w popisie tym udział. Nawet Francuzi stłumili tym razem odwetową nienawiść, nadsyłając prace najlepszych swych mistrzów, a tylko *La Société nationale des Beaux-Arts a Paris*, dostawiwszy zbiorowo obrazy, wystawione przedtem na polu Marsowem, zastrzegła, iż stać one będą po za konkursem, czyli, że o nagrody się nie ubiegają i tychże nie przyjmą. Wzamian, Niemcy, działając z taktem, godnym zaznaczenia, wstrzymali się od wystawienia wszelkich dzieł sztuki zbyt szowinistycznych, a sławie ich narodowej lub słynnemu pogromowi z 1870 r., poświęconych.

Zaznaczmy teraz, że o ile cały pawilon sztuki przedstawiał się imponująco, a potrzebowaliśmy kilku na dokładne zwiedzenie, o tyle areydział nie widzieliśmy tu wcale, — ani jednego. Dzieła piękne, niepospolite, skończone nieraz w artyzmie swym, o czem zresztą świadczyło najlepiej przyjęcie ich tutaj, ale — ani jednego płótna, któreby stanowiło epokę, jeżeli nie w dziejach malarstwa, to w rozwoju twórczości swego autora. Ha, trudno; areydział nie przychodzi na zawołanie, na termin... wystawy berlińskiej.

Mistrzów za to, głośnych w sztuce europejskiej nie brak tutaj. Wszyscy oni przysłali liczne swe prace, tylko tylko... iskra natchnienia nie przyszła im tym razem z czarodziejską pomocą.

Stosuje się to ściśle i do naszych polskich malarzy. Powiedzmy też z góry szczerze, iż sala polska, *Die Polnische Abtheilung*, wśród tego ogromu, tej istnej powodzi malarskiej, przedstawiała się bardzo ubogo. Mieliśmy tu kilka najlepszych naszych nazwisk, ale nie mieliśmy — na równi z innymi narodami — ani jednej pracy natchnionej, potężnej, wrażenie czyniącej. Widz, wyszedłszy z oddziału polskiego, zapominał o nim w pięć minut; a przecież „Bitwa pod Grünwaldem“, Matejki, na wielkiej wystawie paryskiej wywoływała najsprzeczniesze, najbardziej krańcowe sądy, ale żyła na zawsze, we wspomnieniu krytyki i publiczności.

Ogółem, wystawili polacy w Berlinie prac 65; wtem 57 obrazów i 8 kartonów P. Stachewicza. Ponieważ katalog wystawy obejmuje blisko półtrzecią tysiąca dzieł, ilościowo więc ginie w tej masie; jakościowo nie zaimponowaliśmy także, jakkolwiek oko znawcy odkryje tu niejedną cenną perłę. Mistrz Fałat, ulubieniec berlińczyków i cesarza Wilhelma, dał cały szereg prac, z których cztery poświęcił charakterystycznym scenom jarmarcznych, w Galicyi, a dwie ulubionemu przez artystę motywowi: „Powrót z polowania.“ Rzeczy to piękne, ale, trzeba być myśliwym, aby urok ich odczuć; Prof. Alfred Wierusz Kowalski dał krajobraz *Na łące*; p. Adam Badowski wystawił prześliczny, wytwornie malowany portret hr. Szuwałowa; Olga Boznańska, trzy energiczne, śmiałe w kolorycie portrety; Lindenman Emil: „Widok Warszawy“, Juliusz Makarewicz, ze Lwowa, cały cykl studyów, nad śpiewakami kościelnymi w Galicyi; Mańkowski z Krakowa, pełen wdzięku i sielskiej prostoty obraz, zatytułowany: *Die Tage der Blumen*, a ilustrujący widocznie jakąś świętą legendę. Dalej spotykamy tu: Zygmunta Myrton-Michalskiego, z Paryża, dwa portrety; Perdyńskiego „Polowanie“, Pochwałskiego Kazimierza, z Wiednia, „Portret barona von Schoeller“, Pruszkowskiego Witolda: „Śmierć Ellenai“, i „Pochód Anioła śmierci, przez cmentarz syberyjski“, mistrza Henryka Siemiradzkiego, bardzo piękną scenę, z życia domowego w Grecyi; Suchodolskiego Zdzisława: „Rodziną świętą“, odtworzoną w stajence betleemskiej, a pojętą w sposób zupełnie oryginalny i nieszablonowy; Wywiórskiego, „Z Litwy“, i wiele innych.



Jak widzimy, nie brak nazwisk głośnych i prac poważnych, a że nie ma arcydzieł, — niczyja wina. „Fryny“, „Świeczniki chrześcijaństwa“, „Kazania Skargi“ i „Joanny d'Arc“ na zawołanie się nie rodzą.

Rzucmy w przelocie chociaż okiem, na sztukę innych narodów. Wybrać, z paru tysięcy obrazów, kilka, to rzecz niełatwa. Sprobuję jednak zaznaczyć te, które we wszechświatowym owym turnieju, najbardziej zwracały uwagę powszechną.

Z pośród portretów, rozrzuconych po całym gmachu wystawowym, uderzały przedewszystkiem trzy. Wrzały one życiem, doskonałą techniką, śmiałością kolorytu i tak mistrzowskim pochwyleniem charakteru portretowanej osoby, iż zdawała się ona z ram schodzić i przemawiać do widza. Jego Eks. von Szoegeny-Marich, pędzła Wilmy Parlaghy, to typ wielkiego pana, o gorącej krwi węgierskiej, który oparłszy rękę na karabelli, a kółka schowawszy pod pachę, ujął się w bok i czarnemi, mądrymi oczami patrzy tak na widza, jakby mu do głębi duszy chciał zajrzeć. Każdy szczegół jest tu doskonałym, a każdy świadczy o oryginalnej indywidualności artystycznej swego twórcy.

Drugim, jest portret damy, pędzła malarza francuzkiego J. S. Sargent'a. Ta piękna, wytworna Paryżanka, tak żywo, tak plastycznie odcina się od tła obrazu, że, gdyby kto ze znajomych jej wszedł w tej chwili do sali, prawdopodobnie powstałaby i zeszła z ram, aby go przywitać. Temperament kipi i śmieje się z jej oczu; suknia, z malinowego aksamitu, robi złudzenie miękkiej puszystej, a lśniącej materii, której każdy załom przepysznie się wydatnia.

Trzecim portretem tej samej siły, jest podobizna prześlizniętej księżnej Poniatowskiej, pędzła J. Boldini'ego. Biust, ręka, uśmiech i oczy, lekka materia sukni wszystko to składa się na całość nieporównaną. Wreszcie, należy tu jeszcze postawić portret M. Koner'a, przedstawiający z mistrzostwem profesora von Kameke.

Co do obrazów rodzajowych i historycznych, à tout seigneurs, tout honneur, zaczniemy od mistrzów, przodujących sztuce współczesnej.

W. Bonger'a wystawił „Perłę“, alegoryczną postać kobiety nagiej, rzecz to prawdopodobnie zajmująca dla malarzy, dla przeciwnego widza jednak, mdła i szablonowa. Wacław Brozik, słynny mistrz czeski, obok „pierwszej komunii protestantów“, nadesłał — „Kopanie buraków“. Geets, jeden z najwybitniejszych malarzy belgijskich, przyciąga ciekawych „Teatrem marionetek na dworze Małgorzaty austriackiej, w 1515 r.“ Munkaczy imponuje płótnem rodzajowym, w historycznych kostymach, p. f. *Opowiadanie*. Puvis de Chavannes, jedna ze sław Francji, wystawił *Sen*, dzieło duże, alegoryczne, lecz mniej zrozumiałe, i *Studyum*, przedstawiające obnażone plecy kobiety; znów rzecz ciekawa zapewne, ale dla znawców — malarzy.

Porzucmy jednak nazwiska mistrzów, a zatrzymajmy się przy obrazach, ściągających tłumy i zajmujących publiczność.

Oto np. olbrzymie wymiarami płótno historyczne F. Roybet'a, z Paryża, przedstawiające rzeź, dokonywaną w Nesles, przez wojska Karola Śmiałego. Gotyckie sklepienia świątyni, oblane krwawą łuną pożogi, ścisł i tłum, rozpasanie żołdactwa, trupy dzieci i kobiet, wszystko to składa się na całość potężną, ale wskutek natłoku figur nieco zagmatwaną.

Jana Bérard, z Paryża, *Droga krzyżowa*, przykuwa oryginalnym, a realistycznym pojęciem allegoryi. Chrystus niesie krzyż swój i upada pod jego ciężarem. Przed Nim, kapłan dysponuje na śmierć starca i wskazuje mu na Krzyż ten, jako na jedyną nadzieję; panna młoda, w ślubnym stroju oblubienicy, chyli się przed nim w kornej modlitwie; dzieci nyci wyciągają błagalnie rączyny. Zbawca świata jednak, zgięty pod brzemieniem nie widzi tej garstki nielicznej, bo po za Nim, gna Go na mękę i krzyżuje, w przenośni, zgraja cała rozbestwionych, a we współczesne stroje przybranych, wyrzutków społeczeństwa. Tam, grupa robotników, komunistów prawdopodobnie, wygraża Chrystusowi pięściami. Dalej, hałastra cała szczydzi, wyje i znieważa Tego, który od 1900 lat, od dwudziestu wieków blisko, bezustannie jest przez nią krzyżowany.

W ogóle obrazów opartych na życiu Chrystusa znajdujemy kilka na wystawie, a wszystkie prawie

do wybitnych należą, że wspomnę tylko: *Flevit super illam*, E. Simonet'a.

Gdy mowa o mistrzach francuskich, niepodobna pokryć milczeniem „Potoku górskiego“, F. Le Que- sne'a, z Paryża. Wśród złomu szczytów, lasem pokrytych, toczy spienione fale strumień wezbrany, a fale te składają się z przepysznie modelowanych ciał niewieści. Całość przypomina układem i śmiałością obrazu nieodżałowanego Hansa Makarta.

Trzeba się cieszyć nadzieją, iż malarz nie poświęcił tym razem przyszłości dzieła dla chwilowej świetności kolorytu i, że jego *Wildbach nie zezrenieje* i nie popeka jak przepyszny *Wjazd Karola V-go do Antwerpii*, zawieszony obecnie w muzeum miejskim, w Hamburgu. Widziałem go i, nie mogłem pojąć, aby obraz mógł tak prędko zatracić nieporównaną delikatność barw oraz kolorystycznych efektów.

A teraz słówko jeszcze o dziełach mistrzów angielskich i amerykańskich. Słówek, — lecz prawda nie mamy już na nie miejsca... Międzynarodowa wystawa sztuki, w Berlinie, to ogrom, któremu można osobne studia poświęcać. Samo alfabetyczne wymienienie dzieł wszystkich, zajmuje tom spory. Gdzież tu się kusić w pobieżnej notatce, o wyróżnienie najgłówniejszych chociażby?

Aby zgromadzić u siebie przedstawicieli sztuki wszystkich narodów, aby sobie taką lukullusową sprawić ucztę na to powtarzamy — trzeba być wielkim panem. I jest nim Berlin, wśród nowszych miast europejskich. Jeżeli zaś zarzucilibyśmy mu u wstępu cechy dorobkiewicza, to trzeba przyznać, że upoiwszy się własną potęgą, nasyciwszy jej blaskiem, zaczyna on odczuwać głód wrażeń szlachetnych, dla wyższych organizacji dostępnych jedynie.

Nie dziwnego; wszak jest on stolicą, nie tylko junkrów pruskich, lecz i ogniskiem umysłowym na rodu uczonych, filozofów i myślicieli.

Anatol Krzyżanowski.

## Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w departamencie lekarskim złożony został projekt kursów felczerskich dla kobiet. Z projektem wystąpiła gmina jednego z miast.

— Według dzienników petersburskich prośby o otwarcie wyższych kursów żeńskich w niektórych miastach uniwersyteckich, nie zostały uwzględnione.

— Wśród wsparć, które Warszawskie Towarzystwo dobroczynności ma udzielić w d. 19 marca 1896 r., ubogiem mieszkańcom naszego miasta z zapisów na ten cel mu cedowanych, mieszczą się zapisy: Rozalii Fontanowej, Karoliny Kuczakiewiczowej, Klary Pawłosiewiczowej. Podanie wnosić należy do rady miejskiej najpóźniej po dzień 31 grudnia.

— Staraniem komitetu pań przy Towarzystwie opieki nad zwierzętami, ogłoszonym będzie jak i lat przeszłych szereg odczytów popularnych, z których dochód przeznaczonym został na wydawnictwo i rozdawanie bezpłatne popularnych broszurek między ludem wiejskim i miejskim. Udział w odczytach tych weźmie p. Zofia Jotejko.

— Uczennice s. p. Heleny Budzyńskiej, przełożonej pensji żeńskiej w mieście naszym, powzięły zamiar ufundowania stypendyum jej imienia.

— Do sali kopiowania przy Muzeum rzemiosł uczęszcza kobiet osiemdziesiąt, a tak tu, jak i w zakładach litograficznych pracujące retuszerki otrzymują płacę bardzo skromną, a zwiększenie się ciągle ich liczby sprowadzić może jeszcze jej obniżenie. Odzywają się też zdania potrzeby wzniesienia innej jakiej szkoły ze specjalnością jeszcze niewyzyskaną przez kobiety. Praca ich w zawodzie

szwaczek i magazynierek spowodowywa już nadprodukcją, co znacznie obniża cenę tej pracy.

— Szpitale i przytułki dobroczynne w mieście naszym powstały przeważnie z dobroczynnej miłości bliźniego w sercu kobiety. Zaliczający się do najstarszych szpital Ś-go Ducha wzniesiony został w 1445 r., więc 450 lat temu staraniem księżny Anny Mazowieckiej. Instytut Ś-go Kazimierza założony był w 1656 r., przez Jana Kazimierza pod natchnieniem i zabiegami jego małżonki, Maryi Ludwiki.

— Z początkiem bieżącego roku szkolnego pruskie ministeryum oświaty pozwoliło kobietom, które zdały egzamin na nauczycielki, uczęszczać na wykłady wydziału filozoficznego w uniwersytecie Wrocławskim. Przecież każda kandydatka potrzebuje wnieść podanie do ministra oświecenia, a znalazło się takich kilkanaście, z których liczba największa uczęszcza na wykłady literatury uczonego D-ra Koeha, a mieszczą się one wszystkie razem w dwóch pierwszych ławkach, uczęszczają także na posiedzenia seminaryjne, odbywające się pod jego kierunkiem. Jedną z nich słucho wykładów umiejętnej gramatyki niemieckiej prof. Vogta, prof. Kaufmann ma też jedną słuchaczkę. Ale rektor uniwersytetu berlińskiego, prof. Wagner rozesał do profesorów i docentów prywatnych okólnik zawiadamiający, że minister oświecenia nie wydał dotąd żadnej kobiecie pozwolenia na zapisanie się w charakterze studentki rzeczywistej i potrzeba jej podać o to prośbę do ministra oświecenia.

— Austriacki minister oświecenia, bar. Gautsch, uważa, że „dążenie jednostek żeńskich do zarobku, zawiera w sobie niebezpieczeństwo ekonomiczne“, ponieważ konkurencja kobiet, rozwijająca się obecnie we wszelkich kierunkach, spowodowywa obniżenie cen płacy i odwraca je od ideału rodziny. Wykazał on przytem, że we wszystkich gimnazyach państwa tylko dwadzieścia pięć uczennic złożyło egzamin dojrzałości, a stopień doktora medycyny otrzymało tylko trzy. Kobiety, które pozyskały doktorat na obyech uniwersytetach, nie mogą zyskać nostryfikacji, że przecież uniwersytet pészteński przypuszcza kobiety do praw równych z mężczyznami, więc te, które tam studyowały, posiadają już prawa równe z mężczyznami. Obok tego dodać trzeba, że kobieta lekarz jest wielce użyteczną i zasłużoną społeczeństwu, zwłaszcza jeżeli osiedzie w małym miasteczku, lub we wsi parafialnej.

— Królowa Amelia portugalska studyuje medycynę ze względu na słaby stan zdrowia męża, króla Karlosa, który cierpi na otłuszczenie serca i w skutek tego przedsięwziął używać wiele ruchu. Ze przecież lekarze nie uważali tego za rzecz dobrą, zapragnęła powziąć potrzebne tu wiadomości i oddała się studyum medycznemu; chcąc przecież przekonać się, czy dobrze rzecz pojmuje, złożyła egzamin przed urzędem lekarskim. Obecnie już pewna siebie pielegnuje sama zdrowie męża, który ufa jej zupełnie i rad jej zawsze słucho. Królowa odbywa przecież od czasu do czasu narady z lekarzami, którzy nie tylko przyznali jej wiedzę odpowiednią, ale wraz z całym narodem uwielbiają w niej nie tylko kobietę uczoną, ale kobietę umiejącą kochać i szlachetnie pojmować obowiązki żony.

— Francuzka pani, Ewelina Dembourg, rodem z Alzacyi, widząc, że brak zarobku w okolicach, które zamieszkiwała, wytwarza nędzę między ludem, dała sto tysięcy franków na założenie hutki współdzielczej, a dar ten uczyniła tak tajemnie, że nie wiedziano kto był tym szlachetnym ofiarodawcą. Zatarg z właścicielem domu, w którym mieszkała, rzecz ujawnił, gdyż adwokat, broniący jej sprawy, wypowiedział wszystko na posiedzeniu sądowym i nie tylko pozywający skargę cofnął, ale ludność całego okręgu okazała jej uwielbienie swoje przez procesy do jej domu z gałęziami zieleni w ręku. Przybywszy na miejsce odśpiewano pieśń wyrażającą uczucia swoje dla szlachetnej filantropki a autorką jej była młoda panna, Marya Lacer.

— W Szwajcaryi, w kantonie Uri wytworzyło się stowarzyszenie kobiet, obowiązujące stowarzyszone nie dopuszczać się nigdy płotek, obmowy. Kary za wykroczenie przeciwko przyjętemu zobowiązaniu przedstawiają pewną sumkę pieniężną, która obracaną jest na wsparcie ubogich kobiet i małych dzieci. Ze przytem kobieta zajmująca się sprawami obcymi, mniej ma czasu czuwać starannie nad



rodziną i gospodarstwem domowym, nosi ono nazwę „Stowarzyszenia pieczy obowiązków domowych.“

## Streszczenie sprawozdania

z 2-letniej działalności

delegacji pracy kobiet odczytane w sekcji IV-ej Towarzystwa pop. ros. przemysłu i handlu.

Grono warszawskich pań, zajmujących się losem kobiet pracujących we wszelkich odłamach przemysłu, dwa lata temu zorganizowało tak zwaną „Delegację pracy kobiet“ przy Towarzystwie popierania rosyjskiego przemysłu i handlu. Pragnąc rozszerzyć arenę pracy zarobkowej kobietom delegacja, zwróciła uwagę na ustawę cechową w roku 1816, która dozwalała na zawiązywanie cechów kobiet, lub też na przyłączanie się do istniejących męskich cechów. W skutek czego, kwaciarki jedne z pierwszych, zwróciły się z prośbą do prezydenta miasta Warszawy, o pozwolenie utworzenia oddzielnego, wyłącznie kobiecego „cechu warszawskich kwaciarek;“ inicjatorką ruchu w tym kierunku jest pani Wanda Siwińska, której udało się namówić do podpisu rzeczony prośby 13 osób.

Następnie, delegacja, zwróciwszy uwagę na nadmiar produkcji w kierunku sztuki stosowanej, jak malowanie na atłasie porcelanie i kopjowanie gobelinów, dała impuls po zasięgnięciu opinii fachowej, do utworzenia rysunków technicznych w jednej ze szkół artystycznych. Uczennice tej szkoły po ukończeniu kursu otrzymały wszystkie zajęcia w biurach technicznych. Ponieważ dziewczęta niższych sfer jak w Warszawie tak i na prowincji pędzą bezcelowe próżniacze życie delegacja postanowiła rozszerzyć naukę rękodzielnicztwa. Przy pomocy redaktora Zorzy odnaleziono w Warszawie fabrykę, wyrabiającą włóczkowe ubrania dla dzieci, która oprócz dostarczania roboty podjęła się wyspecjalizowania w tej gałęzi przemysłu kilka robotnic, aby te osiadłszy na prowincji, skupiały w około siebie małe dziewczęta, jako pomocnice. Przy towarzystwie subiektów handlowych (ul. Świętokrzyska) zorganizowano dział rekomendacji kobiet w wyszukiwaniu pracy dla pragnących się poświęcić zawodowi handlowemu.

W celu zaś wydoskonalenia ekspedientek, przesłano listy do właścicieli sklepów, aby zechcieli przyjmować na praktykę handlową kobiety do sklepów.

Oprócz tego w niedalekiej przyszłości delegacja zamierza przeprowadzić do skutku projekt „spółki gospodyń wiejskich,“ w tym celu przesłane zostały listy do obywaterek ziemskich, aby przed zawiązaniem spółki raczyły nadsłać odpowiedzi określające jak najniższe ceny puda, funta i t. d. danego produktu, dla porównania takowych z cenami tutejszych przekupniów.

Oprócz tego, delegacja korzystając z rozpraw nad szkołami elementarnymi dla rzemieślników, zwróciła się z prośbą do sekcji rzemiosł, aby w sferacie, jaki zostanie wysłany na zjazd do Niższego-Nowogrodu, uczyniła wzmiankę o potrzebie szkół elementarnych dla dziewcząt, pracujących po sklepach i magazynach mód. Dzięki opiece delegacji pań urządzono wakacje dla szwaczek, których ubiegłego lata wysłano 9 na wieś, a w tym roku 28.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż z powodu pojawienia się projektów i ogłoszeń, rozsyłanych przez, rozmaite kantory zagraniczne, bankierskie i ekspedycyjne, zapraszające do nabywania biletów na zagraniczne loterye pieniężne, specjalna kancelarya do spraw kredytowych podaje do wiadomości, że na mocy prawa wzbronionym jest bezwarunkowo przewóz biletów loteryi zagranicznych, które wykryte, natychmiast są konfiskowane i niszczone.

— *Moskiewskie Wiadomości* donoszą, iż wszystkie projekta prawodawcze, które podczas urzędowania byłego ministra spraw wewnętrznych nadeszły do rady państwa, lecz nie uzyskały jeszcze aprobaty, mają być zwrócone i przedstawione do opinii zarządzającego ministeryum spraw wewnętrznych. Projektów prawodawczych tej kategorii ma być dwadzieścia.

— Sekcja statystyczna warszawskiego magistratu, podająca tygodniowe sprawozdanie z ruchu ludności, ogłosiła, iż w tygodniu przedostatnim zanotowano zgonów 203, a to 115 mężczyzn i 88 kobiet, a w ubiegłym tylko 185 licząc ogólnie. Jestto szczęśliwy skutek zabiegów o uzdrowienie miasta.

— Warszawskie Towarzystwo muzyczne, a raczej komitet tej instytucji ogłosił konkurs na chóry amatorskie, śpiewane w kościołach. Program konkursu ułożony został przez komitet tej instytucji, znosząc się w tem z redakcją czasopisma „Śpiew kościelny.“ Konkurs śpiewaczy męskich kwartetów amatorskich, urządzony przez Stowarzyszenie „Lutnia,“ rozstrzygnięty został w ostatnich dwóch dniach ubiegłego miesiąca, a wystąpiło tu trzy kwartety „Lira;“ oddział kwartetowy Towarzystwa muzycznego, kwartet warszawski p. Piotruszyńskiego i kwartet z Radomia. Konkurs był podzielony na dwa działy: kwartetów solowych i potrójnych. Po obliczeniu głosów sędziących okazało się, że w obu działach najwyższą liczbę głosów otrzymała „Lira,“ jej więc przyznano nagrodę i wręczono znaki honorowe.

— Komitet Warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych wraz z zaproszoną delegacją dokonał drugiego w tym roku zakupu dzieł sztuki, przeznaczonych do rozlosowania między członków, opłacających pięciorublową składkę za rok bieżący. Po odbytych sądzie zapisano tych dzieł dwadzieścia: Józefa Chełmońskiego „Noe,“ Józefa Ryszkiewicza „Przez przeszkody,“ Tadeusza Mucharskiego „Jesienią,“ Leona Szpandrowskiego „Krajobraz zimowy,“ Fryderyka Klopfera „Las,“ Edwarda Okonia „Prządkę,“ Karola Biskę „Zima,“ Stefana Popowskiego „Krajobraz leśny,“ Zofii Oskierczanki „Ogrodnik,“ Apoloniusza Kędzierskiego „Wierzba,“ Gabryeli Jasińskiej „Główka dziewczynki,“ Władysława Szernera „Huculki,“ Feliksa Szewczyka „Przed kościołem,“ Stanisława Karłowskiego „Fijołki“ Czesława Tańskiego „Krajobraz,“ Kazimierza Mastalskiego „Główkę kobiecą,“ Juliana Maszyńskiego „Krajobraz,“ Zofii Stankiewiczówny „Wschód księżycy,“ Emila Lindem na „Krajobraz.“

— *Gazeta Świąteczna* ogłosiła w 1893 r., wezwanie o nadesłanie jej opisów małych gospodarstw rolnych włościańskich, szlacheckich i mieszczańskich, ustanawiając nagrodę za opis gospodarstwa, które wykaże się najlepszym. Opisów tych nadesłano 20, a sprawdzenia ich podjęli się p. p. Feliks Zakrzewski, Leon Bobrowski, Antoni Wieniawski, Zygmunt Glogier, Stefan Kozłowski, Stefan Wydźga, Jan Kowerski, Tomasz Sledziwski, Zenon Maleszewski, Jan Pruski, Jan Klott, Adam Olszewski,

Józef Lipiński, Bronisław Noskowski, Bogusław Kleszczyński, Bałbaszewski, ks. Leon Nawrocki, Teodor Rządowski, Józef Rudnicki. Sąd wyrokujący, które z gospodarstw opisanych prowadzonym jest najlepiej, składali p. p. Maksymilian Dobrski, Leon Dmuchowski, Zygmunt Glogier, D-r Tadeusz Kowalski, Stefan Kozłowski, Antoni Olszewski i Antoni Strzelecki. Na podstawie tego sądu przyznano nagrodę pierwszą: 60 rs., Maciejowi Zwolenskiemu włościaninowi, gospodarującemu na 7 morgach we wsi Klimuntowie; drugą, 30 rs., otrzymał Jan Dyjak, gospodarz na 8 morgach w miasteczku Wojsławice; trzecią, młynek czyli wialnię, wziął Adam Świerczewski, właściciel szesnasto-morgowej osady we wsi Wycinki Osowskie, czwartą zegar ścienny Wojciech Słomka, włościanin, gospodarujący na 48 morgach we wsi Oględowie, piątą, także zegar ścienny, Wawrzyniec Kowalski właściciel czterech morg gruntu pod miasteczkiem Łęczycą.

— Na posiedzeniu koła polskiego w Wiedniu podjęto sprawę emigracji włościan do Ameryki, Towarzystwo S-go Rafała, opiekujące się emigrantami, nadesłało odpowiedź na czynione mu zarzuty przez deputowanego Rutowskiego. Koło orzekło przecież jednomyślnie, iż deputowany Rutowski spełnił należycie obowiązek swój poselski. Partye tych emigrantów, którzy sprzedali ziemię pragnąc udać się do Brazylii, władze po długich przemowach i naradach postanowiły puścić i odjechało ich 400. W krótko potem kilkuset puściło się ich śladem.

— Reforma krakowskiej szkoły sztuk pięknych postępuje bardzo szczęśliwie pod kierownictwem Pałata. Postanowiwszy przywrócić szkole jej dawną świętość, otworzył tu drogę nowym prądom sztuki. Przy zmienionym systemie zmienionym został i skład nauczycieli, odpowiadających pojęciami swemi pojęciom ich przewodnika.

— Dom politechniczny otwarty we Lwowie, mieści na pierwszym piętrze czytelnia i kancelaryą zarządu, a obejmuje 53 pokoiów mieszkalnych, w których mieści się za bardzo tanią opłatą 53 słuchaczy, a pomieścić ich się tu może 70. Obszerna jadalnia, kuchnia, łazienki i pralnia znajduje się w suterenach; na koszt budowy złożono drogą składek sumę znaczną, a obok tego zaciągnięto w banku krajowym pożyczkę w sumie 27,000 zł. reń. Z wiosną zaprowadzoną będzie kręgielnia i sala ćwiczeń gimnastycznych, oraz szkoła pływania.

— Na posiedzeniu lwowskiego komitetu obywatelskiego w sprawie Morskiego Oka, o które Węgrzy uparcie się dopominają, uchwalono zwrócić się z petycją do ministra Badeniego.

— Francuzki minister oświaty zażądał od izby dodatkowego kredytu w sumie 50,000 franków na prowadzenie dalsze odkopalisk w Persyi, które uczony francuzki, Dieulafoi, prowadzi z wielkim powodzeniem. Francya zawarowała sobie wyłączne prawo czynienia tych odkopalisk, a delegaci francuzcy mają prawo kupować połowę odkrytych przedmiotów złotych, czy srebrnych przed wszystkimi innymi narodami, a zarazem i drugą połowę, jeżeli by szach przyzwolił na to. Połowa wszelkich innych odnalezionych tam przedmiotów, posągów, napisów, należyć będzie do rządu francuzkiego, któremu wolno jest obok tego zdejmować odlewy tego, co Persya posiadać będzie na własność, a rzeczy to są cenne i wykazują jak świat jest stary i jak obecni jego posiadacze niewiele znają historią jego przeszłości.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, ark. 2.

**TREŚĆ:** Nic darmo, przez M. I. — Z teki piosnek, przez Selima. — Kazimierz Gliński. **Kłeska** Powieść (dalszy ciąg). — **Książki dla dzieci i młodzieży II.**, przez M. I. — **Nowiny paryzkie**, przez C. H. — **Wielka wystawa międzynarodowa w Berlinie.** (Z wrażeń turysty) V., przez Anatola Krzyżanowskiego. — **Kronika działalności kobiecej.** — **Streszczenie sprawozdania z 2-letniej działalności delegacji pracy kobiet.** — **Z bieżącej chwili.**

**Dodatek obejmuje:** **Czy to miłość?** powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego ark. 2. Przegląd mód. 19 wzorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozyeya stołu.**